

Radosław Rybkowski

## WIELKIE WYBIERANIE

Raz na cztery lata świat amerykańskiej polityki przeżywa szczególne chwile – w poniedziałek po pierwszym wtorku listopada Amerykanie wybierają prezydenta. Wprawdzie różnego rodzaju i równie ważne wybory odbywają się częściej – przykładowo, co dwa lata wybierani są członkowie Izby Reprezentantów oraz jedna trzecia Senatu, jednak to wybory prezydenckie wzbudzają najwięcej emocji i zainteresowania. Trudno sobie wyobrazić Stany Zjednoczone bez programów publicystycznych poświęconych kandydatom, bez wieczorów wyborczych przy okazji prawyborów oraz konwencji wyborczych Partii Republikańskiej i Partii Demokratycznej, bez telewizyjnych debat, nieustannych sondaży opinii publicznej i prasowych doniesień, mogących zdyskredytować kandydatów. Ten wielki spektakl trwa ponad rok. Kandydaci rozpoczynają wyścig do Białego Domu już dwa lata wcześniej, gromadząc wokół siebie zwolenników, sztab doradców oraz przygotowując fundusze na przyszłą kampanię. Wtedy także tworzą zręby programów wyborczych i poszukują najbardziej chwytliwych haseł, które pozwolą przyciągnąć niezdecydowanych. Już wtedy rozpoczynają podróże po całych Stanach Zjednoczonych, by na spotkaniach z przyszłymi wyborcami prezentować swoje zalety, znajdować wolontariuszy, którzy zaangażują się w prowadzenie wyborczej agitaacji; a w mniej oficjalnych spotkaniach z przedstawicielami świata biznesu szukać możliwości finansowego wsparcia.

Prezydencki wyścig budzi zainteresowanie nie tylko w Stanach Zjednoczonych, wobec ekonomicznego i politycznego znaczenia Ameryki zmagania kandydatów śledzone są na całym świecie przez polityków oraz zwykłych ludzi. Również

w naszym kraju media donosiły o styczniowych wynikach prawyborów w stanach Iowa czy New Hampshire. Trudno się dziwić, że akurat sprawa wyboru prezydenta rodzi tyle emocji. Zgodnie z Konstytucją „władzę wykonawczą sprawuje prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki”, co oznacza nie tylko budzące czasem niepokój w Europie prawo prezydenta do użycia amerykańskich sił zbrojnych poza granicami kraju, ale także sprawne zarządzanie państwem i dbanie o dobrobyt obywateli, dla których często dużo ważniejszym problemem niż wojna w Iraku jest dostępność leków w ramach programu Medicaid lub brak systemu ubezpieczeń zdrowotnych.

Wybory prezydenckie to także jeden z najbardziej charakterystycznych elementów amerykańskiej demokracji, której historia rozpoczęła się w 1620 roku. Jak z dumą (czasem może nieco przesadzoną) podkreślają sami Amerykanie, to właśnie wtedy na statku „Mayflower” podpisano porozumienie znane pod nazwą *Mayflower compact*. Na mocy tej umowy, wszelkie prawa w powstającej purytańskiej kolonii Nowej Anglii miały być tworzone przez wybranych przedstawicieli – dla lepszego rozwoju kolonii i dobrobytu obywateli. Od tego czasu w Ameryce rosło coraz większe przekonanie, że najlepsze prawa mogą być tworzone przez wybieranych przedstawicieli, a najlepszymi urzędnikami mogą być ci wybrani przez wspólnotę.

Nowa Anglia miała stać się schronieniem dla ludzi o radykalnych poglądach religijnych, którzy w pewnym oddaleniu od władzy króla, posiadając gwarancję autonomii mogli tworzyć świat odpowiadający ich postrzeganiu człowieka, wspólnoty i świata. W swojej najbardziej radykalnej odmianie – kongregacyjnej – purytanie głosili, że wszelkie decyzje dotyczące wiary i moralności, a także codziennego życia wspólnoty może podejmować jedynie sama wspólnota. Inaczej niż w kościele episkopalnym, w którym na czele diecezji stoi biskup podejmujący decyzje; i inaczej niż w kościele prezbiteriańskim, w którym szczególne przywileje przysługiwały wszystkim duchownym, nie tylko biskupom.

W książce Sumnera Powella, *Puritan Village. The Formation of a New England Town*, można znaleźć doskonałe wyjaśnienie genezy fenomenu amerykańskiej demokracji – zaufania do demokratycznych, najlepiej powszechnych wyborów. Zarządzając wspólnotą, decyzje podejmowano wspólnie za pomocą głosowania i to niezależnie od tego, czy chodziło o akceptację nowego duchownego, czy miejsca, w którym miał powstać dom spotkań (świątynia). Takie działanie wynikało z bezkompromisowo pojmowanego przekonania o równości wszystkich ludzi wobec Boga: ani król, ani biskup nie mógł mieć większego prawa do podejmowania decyzji, wyznaczania osób do pełnienia urzędów niż najzwyczajniejszy członek kongregacji<sup>1</sup>.

Sięgające czasów kolonialnych przekonanie o tym, że najlepszą metodą wyłaniania urzędników jest ich demokratyczny wybór, z całą pewnością uznać należy za jeden z wyznaczników wyjątkowości Stanów Zjednoczonych jako państwa i Amerykanów jako jego obywateli. Jak zauważał Seymour Lipset, Stany Zjednoczone są demokracją, w której najwięcej urzędów obsadzanych jest w drodze wyborów i najwięcej decyzji na wszystkich szczeblach władzy podejmowanych jest

<sup>1</sup> S. Chilton Powell, *Puritan Village. The Formation of a New England Town*, Hannover 1965.

w drodze głosowania. W 1988 roku mieszkańcy Berkeley w stanie Kalifornia przy okazji wyborów prezydenckich uczestniczyli w sześćdziesięciu innych głosowaniach: wybierali członków izby reprezentantów, senatorów i reprezentantów legislatury stanowej, radnych miejskich, członków rady szkolnej oraz wypowiadali się w dwudziestu dziewięciu sprawach poddanych pod referendum przez stan Kalifornia, pięciu przez hrabstwo Alameda i ośmiu przez miasto Berkeley<sup>2</sup>.

Tak powszechnego zaufania do instytucji wyborów nie ma w żadnej innej demokracji na świecie. I dlatego nie sposób zrozumieć Ameryki bez zrozumienia ich wagi i roli w życiu politycznym i społecznym, bez zrozumienia przyczyn zaufania do decyzji podejmowanych wspólnie za pomocą głosowania.

Wybory prezydenckie wzbudzają zainteresowanie nie tylko polityków oraz zwyczajnych obywateli – dla politologów są polem do badań, między innymi dzięki przepisom, które umożliwiają łatwy dostęp do informacji. Rozciągnięcie w czasie prawyborów oraz towarzyszące im nieustająco sondaże opinii publicznej pozwalają uważnie śledzić zmiany preferencji czy przesunięcia w geografii wyborczej. Dyskusje prowadzone w telewizyjnych studiach oraz artykuły publikowane w prasie codziennej, magazynach i czasopismach naukowych zachęcają do zgłębiania tego fascynującego zjawiska. Tym bardziej, że w dość rozpowszechnionej opinii, prezydent USA jest człowiekiem posiadającym największą władzę na świecie, mogącym oddziaływać na bieg wydarzeń na wszystkich kontynentach.

Wybory prezydenckie z roku 2000, kiedy przeciwnikami byli George W. Bush oraz Al Gore, wzbudziły szczególne emocje. Ludzie nie tylko w Stanach Zjednoczonych pamiętają zdjęcia urzędników oglądających bacznie dziurki w kartach do głosowania ze stanu Floryda i na nowo przeliczających oddane głosy. Działania te spowodowane zostały zakwestionowaniem wyników wyborów w tym stanie. Wobec przeciągającej się procedury przeliczania, władze ustawodawcze Florydy stwierdziły, że same podejmą decyzję o wyznaczeniu elektorów. Doprowadziło to do procesu *Bush v. Gore* i ostatecznie o wyniku wyborów prezydenckich zdecydował Sąd Najwyższy, wydając werdykt w którym stwierdził, że poszczególni obywatele nie mają konstytucyjnie zagwarantowanego prawa do głosowania na elektorów. To stan decyduje o zasadach powoływania elektorów i tak jak ma prawo zdecydować o ich wyborze w głosowaniu bezpośrednim, tak może to prawo odebrać. W ten sposób zakończono procedurę przeliczania głosów w stanie Floryda, który miał decydujące znaczenie w ostatecznym wyniku wyborów prezydenckich<sup>3</sup>.

Wybory z 2000 roku doskonale zilustrowały specyfikę systemu elektorskiego, w którym wyboru prezydenta dokonują nie obywatele tylko poszczególne stany, reprezentowane przez elektorów. Z tego powodu, chociaż Al Gore zdobył więcej głosów (50 999 897 wobec 50 456 002 głosów oddanych na przeciwnika), to George W. Bush został wybrany na prezydenta przewagą 5 głosów elektorskich.

<sup>2</sup> S. Lipset, *American Exceptionalism. A Double-Edge Sword*, New York 1996, s. 44.

<sup>3</sup> *Bush v. Gore*, 121 S.Ct. 526.529.

Ta sytuacja wzbudziła oczywiste zainteresowanie amerykańskich politologów, którzy na łamach „Political Science Quarterly” próbowali wytłumaczyć, dlaczego wybory prezydenckie w 2000, a potem w 2004 roku przebiegały w taki, a nie inny sposób oraz starali się wskazać bardzo umiarkowane sposoby reformy amerykańskiego systemu wyborczego. Sami jednak od razu zaznaczali, że zwycięzcy nie zależy na zmianie sposobu wybierania prezydenta, bo stanowiłoby to pewnego rodzaju podważenie legitymizacji jego własnego urzędu i wyboru. Alexander Keyssar zwracał między innymi uwagę na to, że system elektorski jest praktycznie niezrozumiały dla przeciętnego Amerykanina i stanowi szczególnego rodzaju anachronizm. Powolny, ale stały proces centralizacji, rosnące znaczenie władzy federalnej sprawia, że powszechne i bezpośrednie wybory prezydenckie byłyby rozwiązaniem sensowniejszym. Wprowadzenie takiego systemu wymagałoby jednak zmiany konstytucji Stanów Zjednoczonych. Dyskusja wywołana artykułem Keyssara doprowadziła do wniosku, że na poważne zmiany w systemie wyborczym USA raczej nie należy liczyć<sup>4</sup>.

Pospieszne finalizowanie umowy o umieszczeniu elementów tarczy rakietowej w Polsce świadczy o tym, że wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych oddziałują na politykę i w naszym kraju. Dlatego warto próbować lepiej zrozumieć realia amerykańskich wyborów prezydenckich, do czego może się z pewnością przyczynić zawartość tego tomu „Krakowskich Studiów Międzynarodowych”.

Zebrane artykuły tak w języku polskim, jak i angielskim omawiają szerokie spektrum zagadnień związanych z wyborami prezydenckimi w Stanach Zjednoczonych, począwszy od krótkiej prezentacji samej idei wyborów, jako fundamentu amerykańskiej demokracji, przedstawionej przez D. Aarona po wnikliwą porównawczą analizę systemu wyborczego, przygotowaną przez Retta i Annę Ludwиковskich.

Zrozumienie znaczenia i funkcjonowania amerykańskich wyborów prezydenckich byłoby zupełnie niemożliwe, bez uwzględnienia zasad finansowania kampanii wyborczych, zaprezentowanych tutaj przez Bogdana Muchę. Dwa artykuły przybliżają fenomen Baracka Obamy jako demokratycznego kandydata na prezydenta: Grzegorz Babiński ukazuje Obamę na tle problemów rasowych i etnicznych w Stanach Zjednoczonych, a Paweł Laidler skupia się raczej na przyczynach, dla których ten kandydat potrafi tak pociągnąć tłumy.

W niniejszym tomie nie brak omówienia i mniej oczywistych zagadnień. Spasimir Domaradzki skupia się na ograniczeniach praw wyborczych, z jakimi spotykają się obywatele Dystryktu Federalnego Kolumbii (co w 2000 roku skłoniło elektor Barbarę Lett-Simmons do powstrzymania się od oddania głosu, choć powinna była zagłosować za Alem Gore'em); natomiast H. Duggin oraz M. B. Collins analizują problem bycia obywatelem z urodzenia jako warunek wyboru na prezydenta.

<sup>4</sup> A. Keyssar, *Shoring Up the Right to Vote for President. A Modest Proposal*, „Political Science Quarterly” 2003, Summer, Vol. 118, No. 2, s. 181–203; P. R. Abramson, J. H. Aldrich, D. W. Rohde, *The 2004 Presidential Election: The Emergence of a Permanent Majority?*, „Political Science Quarterly” 2005, Spring, Vol. 120, No. 1, s. 33–57.

Przedstawione artykuły są z pewnością są interesującą lekturą dla chcących lepiej zrozumieć amerykańską demokrację, nie tylko przy okazji najbliższych wyborów.